

Informator krajoznawczy

Nr 2/42 (luty) 2013



Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze
Oddział „Sudety Zachodnie” Jelenia Góra
Komisja Krajoznawcza



Wprowadzenie

Luty 2013 roku okazał się miesiącem odpoczynku. Nie uczestniczyłem w wielu imprezach krajoznawczych. Nie mogłem jednak odmówić sobie, ze względu na panujące warunki, zimowego spaceru po wzgórzach, w które obfituje Staniszków. Przysypane świeżą warstwą śniegu wyglądają one bardzo ciekawie. Dlatego postanowiłem podzielić się swoimi doznaniem z tego całodziennego spaceru.

Postanowiłem także przybliżyć chatki turystyczne położone w Karkonoszach i Górach Izerskich. Myślę, że obiekty te interesują wszystkich chodzących po górach. Ale by zachęcić Was do zdobywania Odznaki Krajoznawczej Polski przedstawiam relację z mojego wyjazdu, podczas którego zwiedziłem ostatnie obiekty potrzebne do zdobycia OKP stopnia srebrnego. Mam nadzieję, że informacje te pomogą w zaplanowaniu Waszych wyjazdów.

Na koniec chciałbym podzielić się wiadomością o zebraniu osób związanych z pismem „Karkonosze”. Miało ono miejsce w Bukowcu.

Krzysztof Tęcza

Spis treści:

Str. 1 Wprowadzenie

Str. 2 OKP stopień srebrny – znowu w Polskę

Str. 5 Chatki turystyczne w Karkonoszach i Górach Izerskich

Str. 11 Stanisławskie wzgórza zimą

Str. 18 Spotkanie w Bukowcu

Odnaka Krajoznawcza Polski stopień srebrny – znowu w Polskę

Wracając, w październiku 2009 roku, do domu po wizycie w Warszawie, zajechaliśmy do Pruszkowa, gdzie znajduje się Muzeum Starożytnego Hutnictwa Mazowieckiego. Ponieważ nie do końca byliśmy pewni jak tam dojechać zaparkowaliśmy na miejscu, z którego wydawało nam się, iż byłoby blisko. I trafiliśmy. Po krótkim spacerze dotarliśmy do parku, gdzie podziwialiśmy wspaniałe drzewa. Zaraz też dotarliśmy do Muzeum i po wykupieniu biletów zwiedziliśmy, muszę to powiedzieć, ciekawie zaprezentowaną wystawę. Nie zajęło to nam jednak wiele czasu. Wyruszyliśmy zatem do Sochaczewa. Spotkała nas tam miła niespodzianka. Czekał tu na nas spory darmowy parking. Skorzystaliśmy z niego i poszliśmy do Muzeum Ziemi Sochaczewskiej i Pola Bitwy Nad Bzurą. Kosztowało nas to po jedyne 4 zł od osoby. Muszę przyznać, że kolejne eksponaty wojenne już nam się trochę przejadły ale jeden jaki tu wypatrzyłem przypadł nam do gustu. Było to oryginalne mydło "Anchop" Sea Water Soap, produkcji angielskiej używane przez żołnierzy pod Tobrukiem. To było jeszcze nieużywane. Nie pozwolono jednak sprawdzić mi czy jeszcze pachnie. Skupiliśmy się zatem na wystawie karykatur. Oglądane rysunki i zawarte na nich podpisy rozbawiły nas na całego. I mimo, iż muzeum już zamykali, pozwolono nam je zwiedzić pod warunkiem nie marudzenia. Nasz dobry humor udzielił się obsłudze, co przełożyło się na zezwolenie wolniejszego tempa zwiedzania. Pasowało nam to. Jednak trzeba było jechać dalej. Myśleliśmy, że zwiedzimy jeszcze Żelazową Wolę. Niestety spotkała nas niemiła niespodzianka. Natknęliśmy się na jeden wielki plac budowy. Wszystko właśnie jest przebudowywane. Zobaczymy jak to będzie wyglądało po zakończeniu prac, a na razie musimy sobie odpuścić. Jedziemy zatem dalej w stronę domu.

Pod koniec października trafił mi się wyjazd w interesach. Postanowiłem połączyć go ze zwiedzaniem. Najpierw odwiedziłem, nie po raz pierwszy, Antonin. Obejrzałem pałac myśliwski oraz pospacerowałem nieco po przyległym parku. Jak na razie obiekt ten dostępny jest bez problemów. Można tu zaparkować i napić się kawy czy herbaty. Kolejnym obiektem było muzeum na zamku w Gołuchowie. Znowu spotkała mnie niespodzianka. Otrzymałem bilet bezpłatny. Ponieważ zwiedzałem ten obiekt już wiele razy, interesowało mnie tylko to czy nastąpiły tu jakieś zmiany. Czasu miałem sporo dlatego zwiedziłem jeszcze park i pozostałe obiekty wchodzące w skład całego kompleksu. Muszę powiedzieć, że spacer w tak uroczym otoczeniu zrelaksował mnie na tyle, że bez problemu dotarłem do domu.

W połowie listopada miałem okazję być w Brzegu. To właśnie tam znajduje się zamek a w nim Muzeum Piastów Śląskich. Aby ułatwić zwiedzającym decyzje podzielono zwiedzanie obiektu na dwa sposoby. Pierwszy to zwiedzanie wszystkiego za 8 zł, a drugi zwiedzanie dwóch z czterech kondygnacji za jedyne 4 zł. Ponieważ jestem w tym obiekcie po raz pierwszy wybrałem wariant droższy i ruszyłem na zwiedzanie. Niestety samodzielne, bez przewodnika. Muszę tutaj zdradzić pewną ciekawostkę. Nie każdy bowiem zauważa to co wypatrzyłem. Gdy zagadnąłem panią pilnującą zbiorów była mile zaskoczona, że zwróciłem uwagę na taki wydawałoby się szczegół. Dlatego chętnie przekazała mi garść informacji o innych eksponatach. Ten, który mnie zainteresował szczególnie był stół z przełomu XVIII\XIX wieku. Znajduje się on na I piętrze. Jest bardzo bogato rzeźbiony a podtrzymują go lwy. Pod blatem umieszczono płaskorzeźbę przedstawiającą biesiadników, którzy początkowo idą, następnie jedzą, tańczą, a później się biją. Jest to tak niesamowite i wspaniałe, że grzechem byłoby nakrywać ten stół obrusem.



Pałac Radziwiłłów w Antoninie

Kolejnym odwiedzionym przeze mnie obiektem było Muzeum Wsi Opolskiej w Opolu - Bierkowicach. Muszę przyznać, że jego widok, po dokonanej przebudowie, zaskoczył mnie. Oczywiście na plus. Gdy byłem poprzednio wszystko wyglądało inaczej. Teraz nowo wzniesiony budynek nieco odbiega swoim wystrojem od prezentowanych tu obiektów. No może jest on zbyt nowoczesny. Jedynym mankamentem jaki tu zastałem okazało się niezbyt ciekawe zaprojektowanie miejsc parkingowych. Ponieważ głośno wyraziłem swoje uwagi pracownicy kasy zaprosili mnie do gabinetu dyrektora, który zgodził się z nimi. Niestety stwierdził, że projektanci byli ograniczeni terenem i wyszło jak wyszło. Porozmawialiśmy sobie jeszcze o zmianach jakie zaszły od czasu gdy byłem tu przed dwudziestu laty. Faktycznie są one ogromne. Ale wszystkie poczyniono w dobrym kierunku. Cieszy to.

Za parę dni zawiatałem do Opola. Zwiedziłem tu Muzeum Śląska Opolskiego umieszczonym w ładnym i nowoczesnym budynku. Niestety nie ma tu praktycznie możliwości zaparkowania. Najlepiej samochód pozostawić na parkingu przy markecie. Spacerkiem nie będzie zbyt daleko. Za zwiedzanie zapłacimy tutaj jedyne 5 zł. Nie przedstawiając samochodu warto udać się dalej do Amfiteatru. W momencie kiedy tu dotarłem trwała wielka przebudowa tego obiektu. Miałem jednak wyjątkowe szczęście

trafiając w poszukiwaniu pieczętki na pewnego strażnika. Okazał się on być kopalnią informacji o organizowanym tu festiwalu i tym co się tu działo. Później ostrożnie oprowadził mnie po placu budowy mówiąc jak będzie to wyglądało gdy prace dobiegną końca. Muszę tu wrócić za kilka lat.

Głównym jednak celem mojej wyprawy była Góra Św. Anny. Najpierw zwiedziłem Bazylikę św. Anny i zespół klasztorny Franciszkanów. Oczywiście na tyle na ile można. Wiadomo, że klasztoru nie pozwolą zwiedzać ale gdy się odpowiednio porozmawia przy furcie, zostaniemy wpuszczeni na pięterko gdzie zgromadzono trochę eksponatów tworząc małe muzeum. Naprawdę warto tam zajrzeć. Również warto pochodzić nieco po okolicy by chociaż częściowo zobaczyć kalwarię. Piszę częściowo ponieważ ze względu na ilość obiektów nie będziemy w stanie w ciągu jednego dnia zobaczyć ich wszystkich. Poza tym nie wszystkie są udostępnione do masowego zwiedzania. Myślę, że najlepiej jest udać się do siedziby Parku Krajobrazowego i poprosić o pomoc pracowników parku. Na pewno, gdy tylko będą mieli czas pomogą. Może nawet oprowadzą po parku i to bezinteresownie.



Góra św. Anny - amfiteatr

Ponieważ do Muzeum Czynu Powstańczego dotarłem już po godzinie piętnastej pocałowałem klamkę. Niestety nie sprawdziłem, że jest ono czynne tak krótko. Ale przedstawię jak to wyglądało. Gdy podjeżdżałem pod budynek muzeum jakaś pani właśnie z niego wychodziła. Zamknęła drzwi na klucz i powolutku wsiadła do samochodu, dziwnie patrząc przy tym na mnie. Gdy wysiadłem z samochodu i ruszyłem w stronę drzwi pani ta spojrzała jeszcze raz na mnie i odjechała. Okazało się, iż właśnie zamknęła muzeum. No cóż nie musiała przecież pytać się mnie po co tutaj przyjechałem. Po prostu pech. Dlatego udałem się do amfiteatru. Kto tutaj nie był musi przygotować się na, chyba właściwe będzie tutaj słowo, szok. Jest to olbrzymi obiekt, dawniej użytkowany przez Niemców. Wzniesiono tutaj pomnik Czynu Powstańczego. Wykonał go Xawery Dunikowski. Nie ma tu żadnej kasy dlatego można podjechać nawet w bardzo późnej porze, a i z zaparkowaniem samochodu nie będziemy mieli najmniejszego problemu. Niestety nie udało mi się dzisiaj wykonać założonego planu. Będę musiał przyjechać tutaj jeszcze raz. Czasami tak bywa.

Pogoda wciąż była ładna dlatego postanowiłem, pod koniec listopada 2009 roku, ponownie dotrzeć na Górę Św. Anny. Wyruszyłem z samego rana. Ale na początek ruszyłem do Kłodzka. Tam zaparkowałem w pobliżu Twierdzy Kłodzkiej i ruszyłem na zwiedzanie. Okazało się jednak, iż sezon turystyczny dawno się zakończył. Z obejrzeniem obiektu, tyle że bez przewodnika, nie było problemu. Za to kiedy poinformowałem, iż chcę zobaczyć trasę podziemną, pani w kasie powiedziała, że muszę zaczekać do pełnej godziny, gdyż wtedy będzie przewodnik. Samemu bowiem zwiedzać podziemi nie można. I słusznie. Bałbym się sam zapuszczać w nieznane mi podziemia. Dowcip polegał tylko na tym, że jeżeli o wyznaczonej godzinie nie zbierze się minimum 10 osób to wycieczka nie odbędzie się. Na szczęście takich zapaleńców jak ja było więcej i mogliśmy poznać tajemnice podziemnych korytarzy. Oczywiście musieliśmy wykupić dodatkowy bilet. Ale warto było.

Jak już byłem w Kłodzku to głupio byłoby nie odwiedzić istniejącego tu Muzeum Ziemi Kłodzkiej. Nie będę zanudzał tym co tam widziałem powiem tylko, że na dziedzińcu zobaczyłem krzyż pokutny. Po dłuższych dociekaniach okazał się on być przywieziony z Szalejowa Górnego. Jeśli ktoś wybierze się tutaj to musi koniecznie poprosić kogoś z obsługi by pokazali właśnie udostępnione podziemia jakie znajdują się pod zabudowaniami. Są one niezwykle rozległe. Nie byłbym jednak sobą gdybym nie powiedział o druku ścisłego zarachowania jaki otrzymałem po uiszczeniu 6 złotych. Druk ten, pierwotnie warty 25 zł, zastępuje bilet wstępu, a ze względu na jego rozmiary na pewno go nie zgubicie.

Ba będziecie mieli problem by zmieścić go w swoich kronikach. Nie mniej jest on bardzo ładną pamiątką. Jest tylko jedno ale. Wydawany będzie tylko do wyczerpania zapasów.

Podbudowany sukcesami dotarłem do Muzeum Czynu Powstańczego na Górze Świętej Anny. Tym razem udało mi się. Muzeum było czynne. Wykupiłem zatem bilet za całe 2 złote, zdobyłem ciekawą pieczętkę i ruszyłem na zwiedzanie.

Wracając do domu wstąpiłem jeszcze do Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach. Samo muzeum nie jest wielkie ale jeśli chce się zwiedzić cały otaczający je teren to już na to potrzeba sporo czasu. Dlatego najlepiej jest wypożyczyć rower i ruszyć w trasę po oznaczonym szlaku. Tak, w muzeum wypożyczają rowery. Uważam, iż jest to bardzo dobry pomysł. Miałem szczęście bo oprowadzająca mnie pani kierownik była niezwykle miłą osobą. Główną ekspozycję ogląda się tutaj zupełnie za darmo ale jeśli ktoś chciałby jeszcze obejrzeć film dokumentalny to wtedy musi uiścić opłatę w wysokości 2 złotych.

Muszę opowiedzieć tutaj o zabawnej historii jaka przydarzyła mi się w dalszej drodze. Otóż ujrzałem jakiś bajeczny zamek. Nie mogłem trafić do drogi tam prowadzącej. Pojechałem zatem dalej. Jednak nie dawało mi to spokoju. Postanowiłem zawrócić i poszukać drogi dojazdowej do niego. Pomyślałem sobie, że nie mogę przepuścić tak wspaniałego obiektu, nawet jeśli nie ma go w Kanonie.

Wszystkie drogi były rozkopane, wszędzie były objazdy związane z prowadzonymi tu remontami. Zasięgnąłem zatem języka i po dłuższym kluczeniu dotarłem do pałacu. Był on faktycznie niesamowity. Widać, że powolutku jest remontowany. Nie wiem tylko czy ze względu na słabe tempo pracy czy z innego powodu na okienku wieży widać jakiegoś jegomościa próbującego się tam dostać. Musiało jemu długo zejść bo został z niego już tylko sam szkielet. Zacząłem przeglądać notatki, zajrzałem do Kanonu i cóż się okazało. Wyczytałem tam: Moszna - Zamek. Zespół pałacowo-parkowy. I to właśnie było to. Jakież było moje zdziwienie. Niechcący zwiedziłem obiekt, którego nie miałem w planie, a do tego okazał on się być w Kanonie. A to wszystko przez remonty na drogach i konieczność wykonania paru objazdów.

Jeszcze tego samego dnia udało mi się obejrzeć kościół parafialny św. Jakuba w Małujowicach. Zobaczyłem, że na rusztowaniu siedzi jakiś gościu i pucuje cegielki. Zagadnąłem więc go, a ten chyba już znudzony swoim zajęciem zaczął mi opowiadać o przeprowadzanym właśnie remoncie. Powiedział mi gdzie mam się udać po klucze. Książdz bez problemu dał mi je wiedząc, że pracujący konserwator mnie przypilnuje. On też potwierdził, iż zdobyli właśnie pieniądze na remont fresków jakie pokrywają ściany wewnętrzne prawie całej świątyni.

Ponieważ do zdobycia stopnia srebrnego OKP brakowało mi tylko jednego obiektu, nie zważając na pogodę wybrałem się za dwa dni na Górę Ślężę, gdzie zwiedziłem rezerwat archeologiczny. Niestety nie ma tam możliwości zdobycia pieczętki udałem się zatem wyżej i stosowny stempelek zdobyłem na wieży widokowej "Wieżyca". Kolejny w schronisku na samym szczycie.

Tak oto zaliczyłem wszystkie obiekty potrzebne do osiągnięcia stopnia srebrnego OKP. Aby to osiągnąć musiałem przejechać samochodem ponad 13 tysięcy kilometrów. Czasowo zajęło mi to 6 miesięcy ale tak naprawdę 45 dni wycieczkowych. Był to jednak wielki wysiłek, gdyż oprócz czasu spędzonego w podróży musiałem wiele dni spędzić nad mapami i książkami by zaplanować trasy i odpowiednio ułożyć je tak by na ich trasie znalazło się jak najwięcej obiektów z Kanonu. Nie chciałem w to wierzyć ale udało mi się! Teraz muszę odsapnąć i będę szykował się do zdobywania złota. Zobaczmy jak dużo zajmie mi to czasu. Jestem już tym ciągłym podróżowaniem nieco zmęczony.

Chatki turystyczne w Karkonoszach i Górach Izerskich

Na początku zadam pytanie, może trochę naiwne, może trochę prowokujące. Chatki turystyczne, co to takiego? Czy w ogóle warto o nich wspominać? Bo tak naprawdę ten kto zaczyna chodzić po górach, z reguły nigdy o nich nie słyszał. Ten kto już trochę obeznał się z górami coś o nich słyszał, ale nie do końca wie jak to z nimi jest naprawdę. Natomiast ci, którzy zetknęli się z chatkami, ci którzy

bywali w nich pewnie powiedzą, że warto o nich mówić, że są one jak najbardziej potrzebne. Jednak jest jeszcze jedna grupa, która ma zupełnie odmienne poglądy na ten temat. Są to tak zwani „ludzie gór”. Jedni z nich to prawdziwi przyjaciele młodych. Gościnni gospodarze chatek, zawsze życzliwi, pomocni w każdej sytuacji. Dający młodzieży przykład jak właściwie należy zachowywać się w górach. Choćby to, że idąc z góry należy powiedzieć zwykłe „dzień dobry” – niemal już niesłyszalne pozdrowienie na szlaku. Są to ludzie czujący góry, widzący jakiś głębszy sens w przebywaniu, często samotnie, w górach. Ogromna szkoda, że takich ludzi jest już tak niewielu. Drudzy, to ludzie, którym się wydaje, że to właśnie wokół nich kreci się życie turystyczne w górach, a właściwie we wspomnianych chatkach. Są to ludzie uzurpujący sobie prawo do chatek, w których niejednokrotnie spędzili sporą część swojego życia. Ludzie ci uważają, że o chatkach nie powinno się mówić wcale albo niezmiernie mało, bo to powoduje zwiększone zainteresowanie nimi. A oni spędzając w chatkach całe miesiące, goszczą w nich najchętniej niewielkie grono swoich znajomych, z którymi dobrze się rozumieją. Dla nich reszta turystów to „pałętający się po górach”. Jedno jest pewne. Przebywanie przez dłuższy czas samotnie w górach zawsze wpływa w jakiś sposób na ludzi. Na jednych pozytywnie, na drugich, niestety, negatywnie. Oczywiście w miarę upływu czasu wszystko się zmienia. Zmiany te dotyczą także sposobu życia w chatkach. Jest to proces nieunikniony. Chodzi tylko o to by zmiany te szły w odpowiednim, pozytywnym kierunku. Sam jestem „chatkowiczem” – bo tak o nas się mówi – od lat siedemdziesiątych XX wieku i z pewnością wiem, że wtedy zarówno turyści jak i samo życie w górach było zupełnie inne. Przede wszystkim było o wiele prostsze. No i co najważniejsze, ludzie byli wtedy bardziej życzliwi i okazywali bezinteresowną pomoc, nawet wtedy gdy nikt o nią nie prosił. Wystarczyło, że widzieli taką potrzebę.



Smogorniak

Jak wiemy w Karkonoszach w czasach przedwojennych stawiano małe drewniane domki potrzebne dla zabezpieczenia pozostawianych tam często pracowników leśnych. Bez sensu było bowiem by po dniu ciężkiej pracy wracali oni na dół a nazajutrz znowu tracili siły na wspinaczkę pod górę zamiast od razu przystąpić do pracy. Dawniej ludzie byli praktyczni i oszczędni. Jak już zbudowali te chatki to gdy przestawały one być potrzebne nikt ich nie rozbierał. Stały one sobie po prostu dalej. Były z reguły niezamykane tak by każdy gdy tego potrzebował mógł z nich skorzystać. Zaraz po wojnie tereny te nie były tak łatwo dostępne jak dzisiaj. Niechętnym okiem na turystów patrzyli żołnierze pilnujący granicy. Toteż nie było wówczas specjalnego zmartwienia z istniejącymi w górach chatkami. Wykorzystywali je ci, którzy mieli jakiś pomysł. Na przykład już pod koniec lat czterdziestych XX wieku członko-

wie Klubu Sportowego "Stal" z Cieplic załatwili sobie swobodny dostęp do Smogorniaka nad Srebrnym Potokiem. Wtedy oczywiście wokół chatki rosły jeszcze potężne drzewa. Ludzie ci tworzyli małą ale za to bardzo prężną grupkę. W krótkim czasie doprowadzili do uruchomienia wyciągu narciarskiego, dzięki czemu mogli trenować. Podobny wyciąg zbudowali amatorzy narciarstwa przy chatce na Suchej Górze. Niestety chatka ta nie istnieje już tak dawno, że nawet najstarsi turyści jej nie pamiętają. Dzisiaj pozostałe po niej kamienne fundamenty dla niezorientowanych są praktycznie nie do wytropienia. We wspomnianym zaś Smogorniaku, po opuszczeniu go przez sportowców, zainstalowała się ekipa turystów zrzeszonych przy kole PTTK w cieplickiej Fampie. Gdy zakład nie był zainteresowany dalszym martwieniem się o chatę została ona przejęta od KPN przez utworzoną grupę SOP Smogorniak. Pozwoliło to na generalny remont obiektu. Jednak po kilku latach, wskutek nieporozumień, chatka została ponownie na jakiś czas bez gospodarza. W roku 2007 skupiła się wokół niej grupa osób złożona ze starej kadry oraz zupełnie nowych ludzi, zamieszkałych nieraz na drugim końcu Polski ale czujących potrzebę realizacji swoich pasji związanych z górami. Zawiązali oni Stowarzyszenie Ochrony Przyrody „Smogorniak”. Ponownie zabrano się za prace remontowe tak by przywrócić w chatce pełnię życia. Obecnie czyli w roku 2011 wymieniono dach od strony strumyka i nakryto go papą. Jest tutaj otwarty wiatrołap tak by umożliwić schronienie zabłąkanemu turysty podczas nieobecności gospodarzy. Z przyjemnością stwierdziłem, iż zachowała się do dnia dzisiejszego sztaba zabezpieczająca drzwi, którą to po otrzymaniu zezwolenia w swoim zakładzie pracy, wykonałem i osobiście przyniosłem oraz zamontowałem prawie czterdzieści lat temu.



Chatka AKT

Najbardziej chyba znana w Karkonoszach chatka AKT, zbudowana w 1908 roku, niby cały czas znajduje się w rękach studenckich, ale tak nie do końca. Jest to co prawda obiekt w którym już od niepaństwowych czasów przebywają tak zwani chatarzy, czyli osoby będące tam bez przerwy tak by czuwały nad tym co się tam dzieje. Chatarzy odpowiedzialni są także za utrzymywanie porządku wokół chatki. Więc jeśli nie potrafią zorganizować jakiejś akcji typu sprzątamy góry czy nie ma kto im pomóc, muszą po każdej niedzieli zakasać rękawy i posprzątać najbliższą okolicę. Obecnie chatką zarządzają Towarzystwo Bażynowe, które kiedyś miało swoją stronę internetową. Mogą tu przyjść wszyscy, jednak nie powinni spodziewać się jakiś luksusów. Znany jest przypadek gdy namówione na nocleg panie były bardzo zdziwione, że nie ma tutaj łazienki. Dla wygody takich właśnie osób w niewielkiej odległości od chatki znajduje się schronisko Odrodzenie. Ponieważ okolice chatki AKT są tak malownicze, że mogą wywołać w zauroczonych tym miejscem ludziach chęć pozostania tu na stałe, znane są przy-

padki rozsypywania na pobliskich skałach ich prochów po śmierci. Urządzono tutaj nawet mały ołtarzyk, gdzie stawia się dla nich znicze. Chatka AKT rządzi się swoimi prawami, których muszą przestrzegać wszyscy przebywający tu turyści. Nie ma żadnych wyjątków. Na przykład nie wolno wchodzić do środka w butach. Trzeba zatem zabrać ze sobą kapcie. Należy bezwzględnie stosować się do poleceń chatara, czyli rąbać drzewo, myć naczynia, sprzątać w chatce. Należy dzielić się przyniesionymi produktami żywnościowymi oraz nie zaczynać konsumpcji przed oficjalnym zaproszeniem. Trzeba pamiętać, że obowiązuje tutaj cisza nocna w godzinach 4.00 – 4.15. Za jej zakłócanie stosowane są daleko idące sankcje.

W latach siedemdziesiątych XX wieku znajdowała się tu mała chatka nazywana AKT II. Jednak nie dotrwała ona do naszych czasów.



Chatka Noworoczna

Po sąsiedzku, nad Polskim Potokiem, mamy inną niewielką chatkę znaną jako Noworoczna. Jak dobrze się jej przyjrzymy dojdziemy do wniosku, że bardzo przypomina swoim kształtem chatkę AKT sprzed rozbudowy. Tak też jest, gdyż wzniesiono ją jako chatkę bliźniaczą. Tyle, że jej wygląd zewnętrzny nie uległ zmianie, poza oczywiście dobudowanym małym pomieszczeniem, w którym ulokowano pryczę, tak by przypadkowy turysta w razie niepogody, gdy nikogo tam nie ma, mógł przeczekać w miarę znośnych warunkach. Obiektem tym opiekuje się dosyć zamknięta grupa osób z Piechowic co czyni go w zasadzie niedostępnym dla przypadkowych turystów. Może to i dobrze bo dzięki temu jeszcze istnieje. A miejsce, w którym postawiono chatkę jest bardzo urokliwe.

W ogóle to jeśli spojrzymy na mapę Karkonoszy stwierdzimy, iż chatki zlokalizowane są w zasadzie w dwóch rejonach. Większość z nich znajduje się właśnie tutaj, od Smogorni do Śnieżnych Kotłów. Natomiast kilka zbudowano w rejonie od Skalnego Stołu do Czarnej Kopy. Oczywiście nie wszystkie zachowały się do dnia dzisiejszego. Niektóre, tak jak Morganka, spłonęły. Stało się tak w 1985 roku i do dnia dzisiejszego w zasadzie nie wyjaśniono okoliczności tej tragedii (oficjalnie). A właśnie ta chatka uchodziła przez jakiś czas za najwyższej położony obiekt noclegowy w Karkonoszach. Co prawda nocleg w niej, zwłaszcza w okresie zimowym, był prawdziwym wyzwaniem, ale czar tego miejsca (w nocy widać było jak chmury falują pod naszymi stopami) sprawiał, że nie zwracaliśmy uwagi na wszelkie niedogodności.



Pod Śmielcem



Chatka Wielkanocna

Wracając jednak do istniejących chatek to w rejonie Śnieżnych Kotłów mamy chatkę Wielkanocną a za potokiem Niedźwiada chatkę Pod Śmielcem. Oba obiekty w zasadzie są miejscami do których przychodzą zamknięte grupy. Pierwsza traktowana jest jako baza wypadowa dla osób uczących się wspinaczki. Ze względu na jej usytuowanie można tutaj obcować z przyrodą nawet podczas niepogody. Od dłuższego czasu przyjeżdżają tu pasjonaci w Poznania. Ten niewielki domek myśliwski otrzymał swoją nazwę w 1967 roku kiedy to grupka ludzi spędziła tu Wielkanoc. Było to dla nich tak skrajnym przeżyciem, że od tej pory na wspomnienie tej nocy zaczęli używać określenia chatka Wielkanocna. I tak już pozostało. Domek ten, co prawda, jest widoczny ze Ścieżki nad Regłami, jednak można go zauważyć przez tak krótką chwilę, iż ten kto go nie zna na pewno go przegapi. Niestety nie ma tutaj możliwości przetrwania złej pogody podczas nieobecności gospodarzy. Drugi obiekt to chatka Pod Śmielcem. Jest ona bazą wypadową dla wspinających się w Śnieżnych Kotłach. Pod koniec lat

pięćdziesiątych ubiegłego wieku zaczęli chatkę wykorzystywać taternicy zrzeszeni dzisiaj w Sudeckim Klubie Wysokogórskim. Z historią SKW związane są takie nazwiska jak: Jerzy Kolankowski, Tadeusz Steć czy Waldemar Siemaszko. Przez dłuższy czas organizowano tu obozy pierwszomajowe. Obok chatki wybudowano drewnutnię, w której znajduje się zapas drewna do kozy. Jest tam także ogólnodostępna prycza dla przypadkowego turysty, który znalazłby się tam podczas gdy chatka byłaby zamknięta. Bo trzeba to wiedzieć: poza AKT-tem wszystkie pozostałe chatki są zamykane ze względu na częste akty dewastacji. Biorąc pod uwagę fakt, że często takie miejsce ratuje życie, czyni takie są niezrozumiałe.

W pobliżu Śnieżnych Stawków istniała do lat 60-tych XX wieku chatka zbudowana około 1935 roku, służąca jako stacja badawcza Polskiego Towarzystwa Geograficznego. Niestety pozostawiona sama sobie nie wytrzymała upływu czasu i po prostu zapadła się. Reszty dokonała przyroda.



Chatka Słoneczna

Jeśli chodzi o drugie zgromadzenie chatek to, po kolei, mamy chatkę Słoneczną na Kowarskim Grzbiecie pod Skalnym Stołem. Jest ona zamykana, a opiekujący się nią ludzie przychodzą tu tak rzadko, że raczej trudno trafić tak by można było zajrzeć do środka. Oficjalnie chatka jest pod opieką członków Poznańskiego Klubu Turystyki Górskiej "Hamiltonian". Jej stan, w porównaniu z innymi tego typu obiektami, jest bardzo dobry. Idąc dalej, do Sowiej Doliny, dotrzemy do chatki Puchatka. Jest to bardzo przytulne miejsce, zwłaszcza w okresie zimowym, kiedy to śnieg zasypuje leżącą na zboczu chatkę tak, iż można przejechać na nartach po jej dachu. Dawniej przychodzili tu ludzie pragnący zachować to miejsce jak najdłużej w dobrym stanie dlatego wykonywano przy niej wiele prac remontowych. Przebywali tu także znani dzisiaj wynalazcy. Na przykład jeden z nich, wtedy początkujący chemik, przywoził coraz to lepsze rodzaje wymyślanych przez niego paliw do kuchenek turystycznych. Najlepsze było to, że aby je zapalić trzeba najpierw było podgrzać je tak by zmieniły swoją konsystencję. Ale wtedy jak się zapaliły to już nie było sposobu by je ugasić. Trzeba było czekać aż się wypalą. Ostatnio chatką opiekowali się członkowie Stowarzyszenia "Radio Młodych Wrocław" przekształconego w Stowarzyszenie „Creativo”, które prowadzi Marcin Roszak. Tuż przed pierwszymi opadami śniegu przetransportowano tam materiały do remontu chatki, które przekazał Karkonoski Park Narodowy. Dzięki temu można było przeprowadzić prace remontowe pozwalające na dalsze korzystanie z chatki przez wiele lat.



Chatka Puchatka

Poniżej Małego Stawu znajduje się jeszcze Domek Myśliwski, wybudowany w 1924 roku dla hrabiego Schaffgotscha, właściciela tych terenów. Obiekt od 1963 roku prowadzili członkowie Akademickiego Klubu Turystycznego jako pierwsze w Sudetach schronisko studenckie. Obecnie budynek wykorzystywany jest przez właściciela, czyli Karkonoski Park Narodowy, do jego potrzeb i nie prowadzi się już w nim noclegów. Można za to wziąć tam udział w zajęciach dydaktycznych czy w seansach filmowych ukazujących piękno otaczającej obiekt przyrody.

Oczywiście przedstawione chatki to miejsca do których niektórzy docierają bez większego trudu, jednak dla większości dojście do nich jest często przysłowiową drogą przez mękę. Wszystkie chatki położone są na wysokości ponad 1000 metrów n.p.m. I choćby dlatego trzeba włożyć nieco trudu by do nich dotrzeć.

Ponieważ przez pewien okres tereny te nazywane były Górami Olbrzymimi i obejmowały zarówno Karkonosze jak i Góry Izerskie dodam kilka słów o podobnych obiektach w Górach Izerskich. Niestety w tej chwili nie ma tam żadnych chatek. Najpopularniejsza, zwana Walońską, o dwu izbach, przed-sionku i stryszku, spłonęła podczas przebywania w niej nieodpowiedzialnych pseudoturystów. A muszę powiedzieć, że warunki przy niej panujące (podczas zimy) były ekstremalne. Potwierdzeniem moich słów niech będzie fakt, iż na kilkadziesiąt wypadów zimowych docieraliśmy do niej za każdym razem inną drogą. A ostatni najdłuższy odcinek około 1300 metrów pokonywaliśmy nawet do 13 godzin. Ponoć gdzieś obok istniała jeszcze jedna chatka, której niestety nigdy nie widzieliśmy. Drugim wspaniałym kiedyś miejscem była Bycza Chata pod Tłoczyną. Nieremontowana uległa całkowitej destrukcji. A szkoda. Naprawdę była fantastyczna a podczas spędzanych tam nocy nieraz dobiegały nas odgłosy zwierząt niezbyt zachęcające do wyjścia na zewnątrz.

Staniszowskie wzgórza zimą

Gdy tylko wyjeżdżamy z Jeleniej Góry, mijając z prawej Kopki (zasługujące na naszą uwagę i spacer po nich), dostrzegamy wylaniające się przed nami niepozorne wzgórze porośnięte lasem. Jest to Stani-

szówka mająca tylko 441 m n.p.m. Miejscowi nazywają ją Księżą Górą albo Księżówką, gdyż jakiś czas temu stała się ona własnością kościelną. Wzgórze to wygląda bardzo ciekawie gdy patrzy się na nie od strony stawów rybnych zwanych Balatonem. Zwłaszcza dzisiaj (18.01.2013 r.) kiedy świeży puch zabielił całą okolicę a wodę zaczął skuwać lód posypany śniegiem, w którym widnieją czarne plamy podciekającej wody. Czasami można tutaj trafić na siedzącego nad wykutym przerębłem marznącego wędkarza mającego nadzieję na jakąś zdobycz. Dzisiaj jednak nie ma nikogo. Pewnie lód jest jeszcze zbyt słaby. Powietrze jest tu czyste, a z rzadka o tej porze jeżdżące samochody nie hałasują za bardzo. Widok jaki roztacza się przed nami jest tak zachęcający, że bez chwili namysłu ruszamy w las, by nikłą ścieżką piąć się pod górę. Już dostrzegamy spore skały leżące na zboczu. Biel śniegu nie została jeszcze zmacona śladami stóp człowieka. Nie widać nawet, żyjących tu przecież, zwierząt. Dochodzimy do szczytowych skałek. Tutaj dostrzegamy pierwsze ślady przebiegających tędy zwierzątek. Jedne ślady są drobne i gęste, prowadzące jak po łańcuszku. Drugie, grubsze, widnieją w pewnej odległości od siebie. Nie jesteśmy w stanie rozpoznać jakie zwierzęta je zostawiły. Możemy tylko snuć domysły. Niestety, gdy wydaje nam się, iż już osiągnęliśmy szczyt, okazuje się, że jest to jedynie jeden z kilku wierzchołków góry. Widoczny nieco dalej jest nieco wyższy i to właśnie jego należy uznać za nasz główny cel. Idziemy zatem dalej. Gołym okiem widać, że nie będzie to już takie łatwe. Czeka nas teraz spory wysiłek. Stromizna jest bardzo duża.



Staniszówka wznosząca się nad Balatonem

Wreszcie osiągamy szczyt. Jest on cały usłany grzebieniami skalnymi. Wejście tutaj, jak się wkrótce okazało, nie należy do łatwych. Naprawdę można się spocić. A i, ze względu na świeży śnieg, nie jest bezpieczne. W sumie jest tu ładnie tyle, że ze względu na rosnące wysokie drzewa nie ma stąd żadnych widoków. Nawet najmniejszych. Nie zepsuje to jednak naszego dobrego nastroju wywołanego spacerem na świeżym powietrzu. Spowoduje jedynie krótszy odpoczynek i przyspieszy chęć zejścia na dół, do drogi. I dopiero teraz zobaczymy jaką stromą górą jest Staniszówka.

Jak było do przewidzenia zejście na dół wcale nie było łatwiejsze niż podejście na szczyt. Dobrze, że jest tu sporo ścieżek i można korzystając z nich, w miarę bezpiecznie, „ześlizgnąć” się w stronę pól otaczających wzniesienie.



Gaik – widok z Witoszy

Jesteśmy przy kościele Przemienienia Pańskiego, w samym środku Staniszowa. To właśnie tutaj, zaraz za cmentarzem, na którym kilka lat temu stawialiśmy nowy kamienny krzyż, widać ścieżkę prowadzącą w las, na widoczne zalesione wzgórze o nazwie Gaik (461 m n.p.m.). Właściwie gdyby nie ciemne pnie rosnących tu drzew całe wzgórze byłoby jedną wielką białą plamą. Po obejrzeniu kościoła ruszamy tą właśnie ścieżką i łagodnie wznosimy się coraz wyżej. Oglądając się za siebie widzimy chorągiewkę umieszczoną na wieży kościelnej. Znajduje się na niej data 1784. Niżej widzimy tarczę zegarową. Ponieważ zegar działa nie należy się dziwić gdy usłyszymy jak wybija godziny. Ciekawość wzbudza sporych rozmiarów głaz na placyku przed kościołem. Jest to pozostałość po znajdującym się tutaj pomniku ofiar wojny w 1870 roku. Tuż przed wejściem na teren cmentarza leży oparty o skarpę nagrobek. Wryty na nim napis upamiętnia Oswalda Jakel. Z miejsca tego widzimy wszystkie trzy wzgórza znajdujące się w pobliżu. Widzimy Witoszę, nieco przestroniętą bryłę kościoła, wzgórze Czop oraz Gaik, na który właśnie ruszamy. Jak się wkrótce okaże mimo, że idziemy wydawałoby się łagodną ścieżką, dalsza droga jest o wiele trudniejsza niż wspinaczka na Staniszówkę. Zwłaszcza gdy świeży śnieg przykryje, tak jak dzisiaj, skaliste podłoże. Jest wówczas bardzo ślisko. Niewyraźne ślady dowodzą, że ktoś już dzisiaj szedł tędy na spacer ze swoim zwierzakiem. Po chwili mam spotkanie z samotnym psem, który wybrał się na zimowy spacer. Nie przejawia on zainteresowania moją osobą, nie jest jednak agresywny. Rozpoznaję w nim psiaka, który zawsze rano przychodzi pod sklep w oczekiwaniu na jakiś poczęstunek. Sam kilka razy podzieliłem się z nim śniadaniem, tzn. poczęstowałem go szynką wyciągniętą z bułki. Dochodząc do usytuowanych przy granicy lasu zabudowań widzimy nad ich dachami panoramę gór z bardzo dobrze widocznym zamkiem Chojnik. Nieco bliżej, prawie zawsze pasą się krowki. Nawet teraz, gdy śnieg przykrył trawę. Oczywiście częściej skubią one siano z leżących tu bel ale widać też jak próbują wyskubywać roślinki spod śniegu. Ponieważ nie ma z tej strony wyraźnej ścieżki prowadzącej na szczyt, trzeba pójść nieco dalej, tak by zatoczyć lekki łuk i dopiero wtedy ruszyć ostro pod górę korzystając ze śladów saren, tędy biegających. Upewnimy się wtedy, że wybrana przez nie droga będzie najbardziej odpowiednia. Warto też przytrzymywać się drzewek i gałęzi. Pomoże to nam nie pokoziołkować na dół. Trzeba tylko pamiętać, że po świeżym opadzie śnieg z gałęzi oblepi nas szybko, tak że wkrótce będziemy wyglądali jak śnieżne bałwany. Dzięki jednak ta-

kim przeciwnościom nawet nie zauważymy kiedy dotrzemy pod szczytowe skałki. Co prawda patrząc za siebie, nie będziemy już pewni czy podążaliśmy śladami saren czy kozic. Tak bowiem z tej strony wydaje się stromo. Warto tutaj chwilę odpocząć, gdyż wejście na wznoszące się przed nami skałki nie należy do zbyt bezpiecznych. Nie ma jednak innej drogi na szczyt. Najlepiej wejść tam właśnie po widocznych skałkach z tym, że najbezpieczniej zrobić to na „czworaka”. Niestety tutaj drzewa także zasłoniły cały widok. Tym razem widzę, że jestem w dniu dzisiejszym pierwszą osobą, która tu dotarła. Ale tak jest przeważnie, gdyż mało ludzi decyduje się na wejście na sam szczyt. Jak się wkrótce okazało wejście na Gaik to jedno, a zejście to drugie! Droga na dół to wyższa szkoła jazdy. Mówimy oczywiście o okresie zimowym. Naprawdę można sobie połamać nogi. Tym razem miałem szczęście i wkrótce, zaliczając kilka razy niekontrolowane zjazdy na „czterech literach” wysunąłem się z lasu w okolicach kościoła. Zatoczyłem zatem pętlę.



Gęśle

Kolejne ciekawe wzniesienie znajduje się pod koniec wsi. Gęśle o wysokości 467 m n.p.m., to trapezowe wzgórze porośnięte lasem i z dwóch stron otoczone płotem oddzielającym prywatne działki. Latem miejsce to jest bardzo często odwiedzane przez grzybiarzy. Rośnie tu wiele gatunków grzybów. Sam znam tu miejsce, w którym można trafić na borowce dęte, bardzo smaczne ale i bardzo rzadkie grzyby. Jednak zimą praktycznie nikt się tutaj nie zapuszcza. Może spowodowane jest to faktem, iż strome zbocza pokryte śniegiem są niezwykle ciężkie do pokonania. A do tego nie ma konkretnego celu dla spaceru na górę. Nie ma tam najmniejszych widoków. Wszystko zasłaniają drzewa. Jedyne ciekawy widok roztacza się z pola przyległego do lasu. Ponieważ pole to jest moją własnością i nie ma obaw, że ktoś miałby pretensje, że depczę mu trawę, lubię tu przychodzić. Patrząc stąd widzę dom rodziny Kasperkiewiczów. Córka mojego sąsiada Jurka, Karolina, opisała niedawno kilka z przedstawianych przeze mnie wzgórz. Były to jednak opisy letnie. Mam zatem nadzieję, że moje opisy zimowe uzupełnią niejako wiadomości zamieszczone przez Karolinę.



Chatka Baby Jagi pod Czopem

Zanim wyruszymy na najbardziej znane wzniesienie w Staniszowie udamy się jeszcze na Czop. Zobaczymy tam Grenadierski Kamień. Jest to skała wspierająca się na małej powierzchni tak, że patrząc z boku wydaje się, iż zaraz spadnie na leżące poniżej zabudowania. Pewnie tak też wydawało się żołnierzom francuskim stacjonującym w okolicy, gdyż próbowali ją zepchnąć. Oczywiście nie udało im się to. Jednak od tamtej pory do skałki nazywanej, tak jak całe wzgórze, Czop, przyłgnęła nowa nazwa, właśnie Grenadierski Kamień. Miejscowi mówią na nią także Francusa Skała. Aby dotrzeć do wykutych w skale schodków trzeba przejść pomiędzy domami. To właśnie tam do niedawna rósł piękny tulipanowiec. Zawsze w odpowiedniej porze chodziliśmy tam z wycieczkami by podziwiać jego kwiaty. Od pewnego jednak czasu nikt nie mógł go znaleźć. Jak się okazało drzewo pękło i tworzyło zagrożenie. Dlatego wydano zezwolenie na jego wycięcie. Szkoda, gdyż w okolicy jest tylko kilka takich okazów. Jednak sprawy bezpieczeństwa są na pierwszym miejscu i należy (wbrew różnym krążącym plotkom) sprawę uznać za zamkniętą. Okres zimowy sprzyja wypatrywaniu zasłoniętych latem liśćmi ciekawostek. Idąc dalej wzdłuż granicy lasu dotrzemy do ciekawego domku wykonanego częściowo z cegły, którą wypełniono puste miejsca w utworzonym z głazów naturalnym okapie skalnym. Jest to małe pomieszczenie z drzwiami i oknami oraz wykutym wewnątrz palenisku. Dawniej było ono wykorzystywane do ochrony pasących się w dzień na polance owieczek. Mało kto o tym wie, ale najczęściej miejsce to nazywane jest Chatką Baby Jagi.

Na koniec dzisiejszej prezentacji czeka nas największe przeżycie. Stoję właśnie przed budynkiem starej remizy strażackiej. To właśnie stąd prowadzą na szczyt Witoszy kamienne schody. Jest ich tutaj kilkaset. Dobrze, że zamontowano tutaj metalowe poręcze. Są one w okresie zimowym niezwykle pomocne. Pierwsze spojrzenie pod górę może wywołać u niektórych przerażenie czy zniechęcenie. Od ilości widzianych schodów może zakręcić się w głowie. Jednak ze względu na stromiznę należy być zadowolonym, że ktoś pomyślał o ułatwieniu wejścia i kazał zbudować schody. Ponieważ zawsze mnie to ciekawiło postanowiłem wchodząc na górę policzyć schody i ostatecznie wyszło mi, że jest ich tutaj ponad 490 (czterysta dziewięćdziesiąt). Sporo, prawda?

Ruszam pod górę. Wygląda, że jeszcze nikt dzisiaj nie zapuścił się tutaj. W świeżym śniegu nie ma żadnych śladów. Wkrótce widzę pierwszą z ustawionych tu wielu ławek. Można na niej przysiąść by odpocząć. Wkrótce dochodzimy do jaskini zwanej Skalną Komorą. Na skałach nad nią założono bariery ochronne co pozwala nam na wejście tam i próbę dojrzenia czegoś poprzez gałęzie rosnących tu drzew. Dobrze, że można chwycić się barierki gdyż patrząc bezpośrednio w dół zaraz dostalibyśmy zawrotu głowy. Po kamiennych schodach schodzimy do jaskini. Jest tu cicho i przytulnie. Można usiąść na ławeczce i odpocząć podziwiając zwisające wielkie sople. Mimo, iż na zewnątrz wszędzie leży śnieg tutaj wszystko jest zasypane suchymi liśćmi. Wywołuje to wrażenie, iż jest tutaj ciepło. Siedząc tak cichutko słyszymy tylko szczekanie psów z domów położonych poniżej.



Witosza

Idąc dalej docieramy do tablicy informacyjnej. Jest to pierwszy z opisów, których ustawiono tutaj więcej, gdy utworzono wiodącą tędy ścieżkę przyrodniczą o nazwie "Wzgórza Łomnickie". Przy kolejnych skałkach widzimy położone po sąsiedzku wzgórze Gęśle, na którym byliśmy nieco wcześniej. Patrząc w górę dostrzegamy cokół po pomniku Bismarcka. Niebawem będziemy mieli okazję wejść do miejsca zwanego Ucho Igiełne a nieco dalej przejść przez Skalną Uliczkę. Są tu także skały ułożone tak, że można skorzystać z nich jak z kamiennych ławeczek. Trzeba jednak bardzo uważać bo mieszanka zalegających liści i nawianego śniegu jest niezwykle zdradliwa. Jesteśmy w miejscu, z którego na szczyt Witoszy wiodą dwie trasy. Możemy pójść w lewo albo w prawo. Najczęściej wszyscy wybierają trasę oznakowaną jako żółty szlak turystyczny i tak właśnie za chwilę pójdziemy. Proponuję jednak przejście nieuczęszczaną trasą tak by poznać pomijane widoki i ciekawostki, a następnie powrót do miejsca, w którym znajdujemy się obecnie.

Na sąsiednich skałkach widać kilka umieszczonych tu w dawnych latach napisów. Najczytelniejszy to: Scholz 1794. Nad wejściem do widocznego skalnego okna zwisają wielkie sople. Niby nic takiego ale gdy idąc dalej dotrzemy do okna, z którego one zwisają dopiero wtedy dotrze do nas jak są one wielkie. By tam dotrzeć schodzimy ze schodków i pod barierką wchodzimy do widocznego tunelu. Tworzy on jakby drugie piętro jaskini o długości nieco ponad 20 metrów, wysokości do 4 metrów, a szerokości maksymalnie do 2 metrów. Z tym, że jest też miejsce gdzie zaczepia się ramionami o ściany. Na

końcu tego korytarza trzeba uważać by nie spaść, gdyż zapatrzeni w zwisające tutaj sople możemy nie zauważyć, że pod nogami kończy się grunt.



Jaskinie na Witoszy

Po przejściu kolejnych kilkudziesięciu schodów docieramy do miejsca, w którym z prawej prowadzi ścieżka, o której wspominałem poprzednio. Stąd widać już cokół wysadzonego po wojnie pomnika. Jego granitowe kawałki leżą na całym zboczu. Widać nawet na nich poszczególne litery tworzące kiedyś napis. Przed pomnikiem ustawiono drewniany stół i ławeczki, z których bardzo chętnie korzystają turyści. Ustawiono także kubeł na śmieci. Szkoda tylko, że nie jest on opróżniany co jakiś czas. Gdy już rozsiądziemy się wygodnie na ławeczce oniemiejemy z zachwytu. Widok jaki roztacza się stąd na góry jest niesamowity. Najbliżej, bo po przeciwnej stronie doliny, w którą wciśnięte są zabudowania Stanisłowa, widać wzgórze Gaik. Widać nawet opisywane stado krów. Aby nie przegapić czegoś proponuję wyjąć mapę i porównywać to co widzimy z danymi na niej zawartymi. Tak będzie najlepiej.

Aby nie wracać na dół tą samą drogą najlepiej udać się za pomnik i widoczną tam ścieżką zejść do miejsca, z którego można zobaczyć resztki pomnika. Należy jednak być niezwykle ostrożnym. Trasa ta latem jest bardzo niebezpieczna do schodzenia a co dopiero zimą. Zwłaszcza teraz, kiedy wszystko jest przykryte grubą warstwą świeżego śniegu, pod którym znajdują się spadłe z drzew suche liście. Do tego jeszcze śliskie skały. Aby nie być gołosłownym powiem, że sam chowając do kieszeni notes i długopis, zaczynam ostrożnie stawiać stopy. Nic to jednak nie daje i po dwóch krokach lecę ślizgiem w dół. Całe szczęście, że pośrodku ścieżki rośnie jakieś drzewko. Zatrzymuję się na nim. Dalsze jednak 200 metrów wygląda tak samo. Daję sobie zatem spokój z próbą dotarcia do kamieni z pomnika. Myślę jak najbezpieczniej dotrzeć do widocznego wypłaszczenia. Najlepiej byłoby usiąść na tyłku i zjechać. Tak też czynię. Gdy już docieram do w miarę bezpiecznego miejsca wyglądam jak bałwan. Wszystko mnie boli. Mam dowód, że połączenie śniegu, liści i skał to mieszanka, nad którą nie można zapanować. Cieszę się, że wszystko skończyło się tylko na kilku siniakach. Uznaję, że na dzisiaj mam już dość i ruszam żółtym szlakiem w stronę domu. Oczywiście po chwili zbaczam z niego i wygodnie przez pole sąsiada docieram do lasu koło mojego domu. Po dotarciu do niego siadam przy kominku i przy trzasku płonących polan delektuję się ciepłą herbatką z miodem i cytryną. W końcu jestem w domu!

Spotkanie w Bukowcu

W dniu 1 lutego 2013 roku w pałacu w Bukowcu zorganizowano zebranie noworoczne redakcji i współpracowników czasopisma „Karkonosze”. Wydawca tytułu, Andrzej Ploch, zaprosił nas by porozmawiać o aktualnej sytuacji ukazującego się od wielu lat pisma. Przedstawił nam najbliższe plany związane z wydawaniem tego tytułu i zapoznał nas z kłopotami jakie musi pokonywać.



Uczestnicy spotkania w Bukowcu

Spotkanie było doskonałą okazją do podpisania umów o współpracy z kolejnymi podmiotami. Tym razem podpisy pod stosownymi papierami złożyli przedstawiciele Muzeum Sportu i Turystyki w Karpaczu, Gminnego Ośrodka Kultury w Mysłakowicach i Muzeum Miejskiego Dom Gerharta Hauptmanna.

Najważniejszym jednak celem tego spotkania było zgromadzenie w jednym miejscu prawie wszystkich, którzy przyczyniają się do zachowania ciągłości pisma. Byli zarówno autorzy tekstów, jak i osoby odpowiedzialne za sprawy techniczne. W miłej atmosferze mogliśmy porozmawiać ze sobą i zdradzić nad czym obecnie pracujemy. Napisałem, że ta część spotkania była najważniejsza i to jest prawda. Niezbyt często bowiem udaje się nam spotkać w takim gronie.

Na koniec naszej wizyty w Bukowcu Witold Szczudłowski zaprosił nas na nocne zwiedzanie pałacu. Pokazał nam odkryte tajne przejście prowadzące z piwnicy, a po obejrzeniu poszczególnych komnat mogliśmy zobaczyć na strychu piękną, przeszkloną od góry kopułę. Wspaniale prezentowały się sztuki. Ciekawe były przedstawienia księżycy i słońca. Zwiedzanie pałacu w niepełnym oświetleniu pozwoliło nam poczuć powiew tajemniczości. Mogliśmy puścić wodze fantazji co w rezultacie doprowadziło do ciekawej dyskusji, która przeciągnęła się do późnych godzin nocnych. Skutkowało to tym, że mieliśmy sporo uciechy gdy w zupełnych ciemnościach szukaliśmy swoich samochodów pozostawionych w parku. Dobrze, że po naciśnięciu kluczyków działały światła kierunkowskazów wskazujących nam kierunek, w którym mamy podążać.

Wydawca:

Komisja Krajoznawcza Oddziału PTTK "Sudety Zachodnie"

Jelenia Góra - styczeń 2013

Tekst i foto: Krzysztof Tęcza